

MATELDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA HOCZYŃSKA

57

I.

Najprzód przycisnęła czoło do szyb i miałem wrażenie przez chwilę, że tak jak dawniej wpatruje się w morze. Tyle razy widziałem ją w tej pozycji podczas pięknych, pogodnych dni, zaparzoną w fale szemrzące u stóp naszej willi! Wkrótce jednak poruszyła się niespokojnie i machinalnym, jak gdyby bezwiednym ruchem nacisnęła klamkę szklanych drzwi. Ciężkie wesciennienie wybiegło wówczas z jej piersi. Łudziłem się jeszcze, że przyszła tu, pociągnięta pragnieniem odelchnięcia świeżym, orzeźwiającym powietrzem, napływającym od morza.

Noc była ciemna, ale spokojna. Łagodny wie-
trzyk dął od morza. W otwartych drzwiach balkonowa postać Maryi odcinała się długą, białą plamą. Zdawało mi się, że wsparła rękę na poręcz żelaznej i pochyliła się trochę naprzód.

Stałem jeszcze na środku pokoju, nie śmiejąc się poruszyć wbrew jej życzeniu.

I oto nagle biała, długa plama znikła zupełnie w ciemnościach. Jednym nagłym, szybkim jak błyskawica ruchem Marya rzuciła się w próżnię!

Usłyszałem tylko głuchy łoskot jej ciała, padającego na ziemię.

Oh! Ranieri! to było straszne. Uczulem okropny, dojmujący ból w głowie i zdawało mi się, że tracę przytomność! Trwało to na szczęście tylko parę sekund, poczem jak szalony podbiegłem do balkonu i tam na dole dojrzałem nieruchomą, dużą, białą plamę... Jeżeli w tej samej chwili nie rzuciłem się sam za nią, to chyba zawdzięczać to mogę jakiemuś przeblyskowi rozumniejszej myśli, że może Marya żyje jeszcze...

Przebiegłem nieprzytomny dom cały, wołając, krzycząc o pomoc, rozdzierając z trzaskiem wszystkie drzwi willi. Za mną biegła panna służąca i lokaj i doktor, który właśnie był nadszedł w tej chwili i w kilku skokach znalazłem się na małym skwerze, znajdującym się przed domem. Znaleźliśmy Maryę leżącą bez ruchu pod balkonem...

Nie żyła już! Wielka kałuża krwi sączyła się z jej pięknych włosów, plamiąc białą suknię.

Oh! Ranieri, ona już nie żyła!

Dwie minuty może zaledwie straciłem, przebiegając pokoje willi. Z mojej ukochanej Maryi pozostał mi tylko trup skrwawiony!

I kiedy wylem z rozpacz przy jej zwłokach jak zwierzę, dotknięte śmiertelnie, dobiegł mnie nagle od strony morza osły wybuch szatańskiego śmiechu! Śmiech ten słyszeli wszyscy, Ranieri! Powstałem i spojrzałem w stronę morza i pomimo ciemności dostrzegaliśmy łódź rybacką, oddalającą się szybko od brzegu. Na przodzie łodzi stał mały, przygarbiony człowiek. Poznałem w nim natychmiast Markusa Hennera!

Powinienem być rzucić się w morze, dopaść go, rozdrzeć zębami, rozczławić w kawałki tego ohynego mordercę mojej Maryi — nieprawdaż?

Ale czy mogłem opuścić to bledne, skrwawione ciało, to jedno, co mi pozostało z istoty ukochanej przeze mnie. Czy mogłem ją tu zostawić, samą, na obcym, pustym wybrzeżu jedynie pod opieką ludzi obcych i płatnych? Dwa razy jeszcze wśród ciemności nocy dobiegł nas ten szatański, okropny śmiech. W ten sposób musi wyć hyena, nasycona krwią swoich ofiar... A później łódź znikła zupełnie w ciemnej mgle, unoszącej się nad morzem...

Sam, Ranieri, obtarłem z krwi te piękne włosy, które przed chwilą jeszcze okrywałem gorącymi pocałunkami. Nie pozwołem dotknąć jej nikomu. Sam umyłem i ubrałem bezwładne ciało mojej ukochanej i ułożyłem na posłaniu z kwiatów, a potem pozapałałem świece w tym pokoju, gdzie tyle godzin spędziliśmy w rozkoszy i upojeniu bez granic. I sam czuwałem przy drogiej mojej zmarłej, płacząc i całując zimne jej oczy. Czy uwierzysz Ranieri, że rozpacz moja znajdowała pewne ukojenie w tych staraniach około jej zwłok? Czuje, że gdybym był nie mógł oddać jej tej ostatniej usługi — musiałbym oszaleć z bólu, lub też odebrać sobie życie.

Odebrać sobie życie? O! tak rozmyślałem nad tem noc całą, czuwając obok tajemnicy tej tragicznej, niezrozumiałej dla mnie śmierci!

Czy miałem prawo żyć dalej, teraz, kiedy jedyną istotę ukochaną przezemnie utraciłem na zawsze?

Czy żyć mogłem? Długo stawałem sobie to pytanie, wpatrzony w stygnące zwłoki mojej Maryi, całując jej oczy i usta zimne. Oh! Ranieri! Ilek ona odebrała odemnie pocałunków w tem ostatnim, rozdzierającym pożegnaniu!

Mówią, że człowiek, składający pocałunki, pełne namiętności i miłości na ustach zmarłej kobiety, obarcza grzechem ciężkim swoją duszę. Oh! Ranieri, czy ja mogłem wówczas myśleć o tem. A ona, to biedactwo moje drogie, więc umarła potępiona według zasad naszej wiary, skoro do ostatniej chwili ziemską miłość rzucała w jej duszy? Ale jakże ona cierpiała! Ilek też wylała w ciągu smutnego swojego życia! Ilek pokut i modłów odprawiała, aby w nich znaleźć pocieszenie!

Dzięki Markusowi Hennerowi biedna moja Marya odbyła już dostateczny czyściec na ziemi.

Zresztą powiem Ci Ranieri, że zawsze wierzyłem w miłosierdzie Boga względem grzechów popełnionych z miłości prawdziwej, za które pokutuje się już najczęściej jeszcze przed śmiercią.

Maryal moja droga, słodka Marya, miałaby umrzeć w stanie potępienia. Umarła jak samobójczyni! Ale czy ona „naprawdę” odebrać sobie życie chciała! Przecież była teraz tak szczęśliwa i tak kochała mnie gorąco! Pragnęła tak powrócić do straconej młodości swojej, aby mieć moc kochać dłużej i silniej jeszcze! Samobójstwo! Nie! to nie było samobójstwo, Ranieri! Czy to nie było prędzej morderstwo? Czy nie była ona raczej uległa czyjemuś rozkazowi? Czy ktoś nie zniszczył, nie uspił jej woli i energii? Czy nie walczyła może z jakąś ukrytą siłą tej okropnej, niezapomnianej nocy... walczyła, bo umrzeć „nie chciała”... ale w końcu pokonana została. Oh! Ranieri! Ranieri! Całą grozę tej niespodziewanej śmierci widzę jeszcze teraz jak na jawie!

Trzeciego dnia umieściłem zwłoki mojej Maryi w trzech sprowadzonych trumnach, jednej z ołowiu, drugiej z drzewa, a trzeciej z aksamitu i pochowałem ją na małym, pełnym kwieciami cmentarzu w Coves. Tak! Nic innego nie pozostawało mi do czynienia. Lecz po dokonaniu wszystkiego, co tylko podszeptał mi mój kuli, by uczcić godnie pamięć mojej drogiej zmarłej, pozostał mi drugi, święty obowiązek — obowiązek zemsty! Musiałem uwolnić świat od tego nikczemnego potwora! Ten garbus przeklęty musiał zginąć z mojej ręki! Nie w pojedynku, bo pojedynki odbywa się pomiędzy ludźmi szlacheckiej rasy, a on był tylko najniebezpiecznym z morderców! Nie miałem jednak zamiaru zamordować go podstępnie, bo by to był uczynek podły, lecz w biały dzień, otwarcie, w obliczu słońca, własnymi rękoma, zdusić w nim życie, paść na jego długie cierpienia, naigrawać się z nich, a w końcu plunąć mu w twarz z pogardą!

Przy zwłokach Maryi w tę pierwszą, okropną noc czuwania przysięgałem sobie to uczynić wcześniej czy później, przysięgałem zadośćuczynić pragnieniu mojej zemsty, przysięgałem odnaleźć go choćby na końcu świata!

Przysięgałem raz jeszcze później, całując ziemię, pod którą spoczywała moja ukochana, że wyjadę niezwłocznie z Coves i jak piełgrzym zemsty, przebiegać będę wszystkie kraje, oddając na ten cel czas mój, zdrowie i majątek, by tylko móc wyrzucić zasłużoną karę na tym nieczym zbrodniarzu!

Po trzykroć przysięgę tę złożyłem nad zwłokami Maryi i odtąd nie żyłem już dla siebie, nie byłem już niczem więcej, tylko mścicielem, dążącym do jednego celu.

Po złożeniu tej strasznej przysięgi, po uspokojeniu się mojej wściekłości i rozpacz, oddałem się przez dwa dni następne kultowi zwłok mojej drogiej zmarłej. Nie pozwoliłem nikomu zbliżyć się do niej. Sam, własnoręcznie ułożyłem w trumnie aksamitnej, i ucałowałem po stokroć razy zanim zdecydowałem się przymocować wieko. W godzinę później, pchany jakimś niezwalczonym pragnieniem, raz jeszcze otworzyłem trumnę, by spojrzeć na jej twarz uwielbioną. Nie była wcale zmienioną i zachowała jeszcze wyraz pogody i słodczy, pełnej powagi.

Następnie przy pomocy dwóch moich służących zamknąłem ją w ostatniej, ołowianej trumnie, wyniosłem na katafalk żałobny i pozostawiłem przy niej aż do chwili, w której grób jej usypano i przybrano najpiękniejszymi kwiatami.

Ale wiesz, Ranieri, pozostała mi prawie żywa pamiątka po niej. Jeden z jej długich warkoczy, czarny, który raz w miłosnej pieśczości owinięła wokół mojej szyi, nazywając mnie niewolnikiem swoim. Odciałem ten warkocz, który trzymam zawsze przy sobie jako skarb i relikwię najdroższą i nawet po śmierci nie pozwolę się rozłączyć z nim.

Ranieri, ileż ja nocy przepędziłem bezsenne! Byłem jak szalony! Wołałem na cały głos Maryi, wstawałem z łóżka, biegałem po willi w nadziei nieprzytomnej rozpacz, oblewając gorącymi łzami jej włosy, jedyną rzecz, która mi po niej pozostała, gryząc je, by silić płacz i jęki, wybiegające z mej piersi.

Pozostała mi jednak druga pamiątka po Maryi, i wiem, że Ty, Ranieri, odczujesz zaraz, co to jest. Zachowałem ten przedmiot dla mnie tak cenny, ten przedmiot dziwny, który obudziwszy i rozpaliwszy najprzód moją wyobraźnię, wywołał u mnie tę śmiertelną namiętność, od której zginę zapewne. Bo przecież wiesz już, że ta ręka cudna, okryta cennymi klejnotami, pozostawiona przez Markusa Hennera w przedziale wagonu, należała do Maryi.

Nie dziw się Ranieri. Mówiłem ci już, że w tę noc fatalną, w której uwolniłem Maryę z jej więzienia, to jest wówczas, kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, zdawało mi się, że posadziła obydwie ręce nienaruszone. I w chwili tej, chociaż wyobraźnia moja doznała pewnego rozczarowania, uczulem, że kocham już Maryę taką, jaką jest. Zapewne wyobraźnia dużo wpływała na miłość moją, lecz w tym momencie rzeczywistość okazała się silniejszą, choć najwyższej wizji i zapomniałem o wszystkim, o obecności tej najśłodszej istoty, idącej do mnie pod naporem bólu i miłości. W jakiś czas później dopiero poznałem tajemnicę tej uciętej ręki. Ta ręka, będąca w mojem posiadaniu, należała do niej. Nie będę Ci opisywał, jak i dlaczego odcięta została. List mój jest już aż za nadto długi. Zresztą czuję się bardzo zmęczonym. Jeżeli opis miłości mojej i opis śmierci Maryi ulży trochę mojemu bólowi, niemniej wy-czerpał on mnie silnie.

Wierz mi, mój przyjacielu, jestem teraz jak drzewo, nagle rażone piorunem, którego korzenie tkwią jeszcze silnie w ziemi. Ale wszystkie liście i kwiaty opadły już z niego na zawsze i nigdy już więcej wiosna nie rozpali w pniu uschniętym soków jego zniszczonych.

Z listu, a właściwie ze spowiedzi Markusa Hennera, którą Ci posyłam równocześnie, dowiesz się strasznej tajemnicy uciętej ręki. I dowiesz się Ranieri jeszcze o jednej rzeczy, dowiesz się, dlaczego ja, który przysięgałem poświęcić życie moje pomśzczeniu Maryi, nie zabiłem Markusa Hennera. I zrozumiesz, że po tem, co ten potwór napisał, ja już nie mam co robić na tym świecie.

Widziałem ginącą w moich oczach istotę, którą kochałem ponad wszystko i nie mogłem nic temu zaradzić — musiałem patrzeć na jej mękę, a potem na jej śmierć, nie mogąc znaleźć dla niej ratunku żadnego. Całe moje przeżycie miłosne było tak intensywne i tak głębokie, że wydaje mi się, iż przeżyłem sto lat w tych dniach trzydziestu. Zdaje mi się, że jestem już starcem niedołężnym, mającym tylko jedno, jedyne pragnienie — pragnienie śmierci. Marya moja nie żyje! Marya moja umarła prawie w ramionach moich, jeszcze ciepła od moich pocałunków i pieśczości i ja nie mogłem zapobiedz tej śmierci. Czy byłem złym kochankiem, Ranieri? Zdaje mi się, że tak, bo Bóg, aby mnie ukarać, pozbawił mnie jedynej radości, jaką mi pozostawała. Pozbawił mnie rozkoszy wywarcia swojej zemsty! Nie mogłem, Ranieri, zabić tego, który zamordował moją Maryę! Co dalej czynić będę? Nie wiem. Wiem tylko, że pozostanę tutaj dotąd, dokąd trwać we mnie będzie pragnienie przebywania przy jej grobie, a wiem, że pragnienie to dręczyć mnie będzie aż do ostatniej godziny mojego życia.

Jedna rzecz tylko zdołałaby mnie oderwać od tego grobu, pokrytego chryzantemami — pragnienie poznania córki Maryi, Racheli Kabib, którą Ty kochasz, Ranieri.

Jakże Ty szczęśliwy jesteś, mój przyjacielu. Ty nie żyłeś na próżno, miłość twoja „zjawiała się w porę”. Kochałeś szczerze, namiętnie i tak samo kochany byłeś.

(Dalszy ciąg nastąpi).